Ślązczyzna – Ojczyzna

Dr Bożena Cząstka-Szymon – polonistka, językoznawca, współautorka „Małego słownika gwary śląskiej”.



Bożena Cząstka-Szymon, fot. Tomasz Jodłowski.

Marek Baster:

Co to jest *jaźwiec*?

Bożena Cząstka-Szymon:

W staropolszczyźnie to był borsuk.

Moja babcia na borsuka mówiła *jaźwiec*. A nie ma go w

słowniku gwary śląskiej.

Bo nasz „Mały słownik gwary śląskiej” jest po prostu… mały. Nie rejestruje słów rzadko używanych bądź wychodzących z użycia. Takie znajdzie pan zapewne w dużym słowniku śląszczyzny pod redakcją prof. Wyderki z Uniwersytetu Opolskiego.

Czy językoznawcy zmierzyli, w jakim stopniu gwara śląska jest polska, a ile w niej wpływów niemieckich, ile czeskich?

Śląski jest jak rzeka, do której dołączało wiele dopływów. Prace prof. Nitscha, Bąka czy Rosponda potwierdziły jednoznacznie, że dialekt śląski bierze się z pnia polskiego. Widać to na przykładzie najstarszych słów zapisanych po polsku w „księdze henrykowskiej”. Tradycja każe nam mówić, że słynne „Daj, ać ja pobruczę, a ty poczywaj”, to jest już język polski. Ale równie dobrze były to pierwsze słowa zapisane po śląsku! Bo z pewną dozą wyobraźni można przyjąć, że wypowiedział je czeski chłop do swojej polskiej żony, a zapisał – to już wiemy na pewno – opat Piotr, syn niemieckich kolonistów.

Zdanie ma konstrukcję polską, staropolską, a jeśli tak, to posiada tym samym konstrukcję starośląską. Więc i śląską. Prof. Miodek słusznie mówi, że polszczyzna śląska jest najbardziej archaiczną polszczyzną. Przekonują o tym badania językoznawców. Jeśli uczciwie i rzetelnie zapisują śląski dialekt, otrzymują zawsze

słowa i składnię typowo staropolską. Śląszczyzna przechowała ich wiele, na przykład „o” pochylone czy samogłoski nosowe, których we współczesnym języku polskim dawno już nie ma.

To jak jest z tymi procentami, które by mogły przeciwstawić się tym, co podejrzewają gwarę śląską o nadmiernie zniemczenie?

Zawsze odpowiadam na takie pytanie przykładem języka angielskiego. Podobno jest w nim połowa słów, wprawdzie przetransponowanych, ale pochodzenia łacińskiego. Czy angielski jest przez to mniej angielski? Profesor Lehr-Spławiński znalazł w języku polskim 1800 wyrazów o rodowodzie słowiańskim. To tylko jakieś dziesięć procent słownictwa współczesnego wykształconego Polaka. Nawet taki „arcypolski” chleb pochodzi ze starogermańskiego… Czy to znaczy, że nie mówimy po polsku? Nie, każdy żywy język wchłania pewną liczbę wyrazów obcych. Gwara śląska, z powodów historycznych, przyjęła ich niewątpliwie więcej niż inne.

Gwara czy dialekt?

Potocznie mówimy o gwarze śląskiej, ale to jednak jest dialekt – jeden z pięciu polskich dialektów. Obok śląskiego, mamy jeszcze dialekt małopolski, wielkopolski, mazowiecki i kaszubski. Śląski

obejmuje dość duży obszar, od terenów bogumińskich i Czadeczczyzny na południu, z Mostami i Łomną, aż po Wielkopolskę.

I mówi pani, że gdyby ostatni Jagiellon wstał z grobu, najłatwiej byłoby mu porozumieć się na Śląsku?

Owszem, bo śląski to typ gwary konserwatywnej. Generalnie najmniej zmieniona gwara pozostała na terenach rolniczych, gdzie nie było potrzeby inaczej nazywać przedmiotów, których używano z dziada pradziada. Tam, gdzie przyszła rewolucja przemysłowa, za czasów pruskich, przyniesiona przez żywioł niemieckojęzyczny – tam siłą rzeczy słów pochodzenia niemieckiego jest więcej. Każde *novum* technologiczne, w hucie czy w kopalni, otrzymywało nazwę, którą ze sobą przyniosło. Ale wszystkie te słowa zostały przyswojone. W śląszczyźnie się odmieniają i tworzą, na wzór polski, nowe wyrazy. Po śląsku jest *knefel*, ale i *kneflik* oraz *knefliczek*.

Od kiedy gwara przestała być wyznacznikiem niższego statusu społecznego?

Ja nie wiem, czy tak było w rzeczywistości. Sama często używałam i używam wyrażeń gwarowych. Ziętek też mówił po śląsku, Gierkowi to nie przeszkadzało.

Ale przecież dopiero od 1989 roku ludzie wykształceni przestali się krępować gwary. Teraz i poseł sypnie śląskim dowcipem, i prezydent miasta…

Tak się mówi, ale to chyba nieprawda. To jest pewnie kwestia otwartości, śmiałości, albo raczej jej braku. My to wciąż mamy w sobie. Kiedy na pierwszych zajęciach ze studentami pytam, kto zna gwarę śląską, prawie nikt się nie odzywa; może pięć, może osiem procent się przyznaje do śląskości. Inaczej pod koniec zajęć, kiedy okazuje się, że jednak Ślązacy rodowici są większością. Ale tak się dzieje dopiero wtedy, kiedy przestali się tego wstydzić, kiedy zobaczyli, ile jest w ich domowym języku słów arcypolskich, o których współczesna polszczyzna dawno zapomniała.

Zawsze było tak, że obok siebie funkcjonują kultura wysoka i niska. Od tej niskiej się odchodzi, ku tej wysokiej się aspiruje. To jest zjawisko historyczne. Pod Krosnem, z małej wioski, wyszedł z biedy wybitny polonista prof. Pigoń. Trudno sobie wyobrazić, żeby na uniwersytecie używał gwary. Jak ktoś wychodzi ze swojego regionu i dąży do kultury wysokiej, musi posługiwać się ogólną polszczyzną. Więc ci wszyscy Pigoniowie, Kawalcowie i Morcinkowie albo się wyzbywali gwary, albo zachowywali ja tylko do użytku domowego. A to, jak się mówi u siebie w domu, to inna sprawa.

Gwara wzbogaca?

Tak, jeżeli nie dochodzi do zakłóceń między językiem ogólnopolskim, standardowym, a gwarą. Nie można zakazać posługiwania się gwarą nawet w sytuacjach oficjalnych, bo to jest język naturalny. Ale już próby wprowadzenia dialektu śląskiego do urzędu mijają się z celem. Byłam kiedyś na takim spotkaniu Związku Górnośląskiego, na którym ówczesny szef związku zastanawiał się, jakby to było pięknie, gdyby po śląsku mogły powstawać prace naukowe! A jak pan sobie wyobraża na przykład pracę naukową, pisaną gwarą? Jaką gwarę – tę spod Opola czy z Rudy Śląskiej, a może tę cieszyńską – podniesie pan do rangi urzędowej śląszczyzny? Po co się zatrzymywać – może pisać literaturę po śląsku?... To byłaby praca hermetyczna, zrozumiała tylko dla mieszkańców Zabrza i Rudy, ale już w Bytomiu czy Gliwicach byłoby trudniej. Bo Ruda nie mazurzy, a Bytom tak.

Ktoś zaczął pisać Biblię po śląsku.

Jeśli robi się to w kategoriach ciekawostki, na prywatny użytek, to bardzo proszę. Ale bez naruszania granicy między dialektem a językiem ogólnopolskim. I bez udowadniania na siłę ahistorycznej tezy, że na Śląsku modlono się po śląsku. Nie, na Śląsku językiem urzędowym był niemiecki, domowym – dialekt śląski w jego różnych odmianach, a językiem modlitwy był język

polski. Pokazuje to chociażby śląski językoznawca R. Olesch. W wydanej po niemiecku pracy o gwarze z Góry Św. Anny, zapisał modlitwy w wersji fonetycznej. One brzmią po polsku: „Łojcze nasz, któryś jest w niebie, świynć się imiyn twojy…”.

Może jest tak, że po latach krępowania, dziś się gwarę wywyższa?

Byli tacy zwolennicy myślenia życzeniowego, co chcieli podnieść prestiż gwary i stworzyć z niej język ogólny.

Bo musieli odreagować to, że pani w szkole krzyczała na nich: Mówcie ładnie po polsku!

Powinna była mówić: na przerwie, z rówieśnikami mów jak chcesz. – tak jak mówisz w domu, z rodzicami. Że tak się nie działo, winna była nie tyle szkoła, co ludzie, którzy nie potrafili z dziećmi pracować. Tam, gdzie nauczycielem był prawdziwy pedagog, to się nie zdarzało. Bo rolą polonisty jest przygotowanie człowieka do posługiwania się poprawną polszczyzną, żeby mógł żyć w swoim państwie. Ale też, żeby szanował swoją gwarę, regionalizmy. Ci Ślązacy, którzy trafili na dobrych nauczycieli, którzy pracowali nad swoją polszczyzną, są tak dobrze przygotowani, że są wręcz nierozpoznawalni językowo w innych dzielnicach. Ani po intonacji, ani po akcencie. Z mojej szkoły w miejscowości, w której mieszkało 90 procent

Ślązaków, wyszedł m.in. biskup tarnowski Wiktor Skworc, którego polszczyzna jest naprawdę piękna. A on przecież w domu mówił gwarą… Sama pamiętam, jak prof. Bajerowa lubiła pochylać się nad ciekawymi śląskimi słowami, mówiła wręcz do nas, studentów: A mówcie wy sobie – *grziwka*, *krziż*, przecież to takie piękne, staropolskie…

Proszę iść do do sklepu w centrum Katowic i poprosić o *kilo hawerfloków.*

Zdziwię pana, ale mam już za sobą taki test. Przyjechała do mnie koleżanka z Kaszub. Też językoznawca. Zastanawiała się, na ile gwara śląska jest jeszcze żywa i zrozumiała. Poszłyśmy do katowickich delikatesów. Stanęłam przed ekspedientką i powiedziałam: *Pani, dejcie mi pół funta oplerków.* Ku jej wielkiemu zdziwieniu, dostałam to, o co prosiłam. I do dziś nie wiem, czy rozmawiałam z rodowitą Ślązaczką, czy tylko z osobą przyzwyczajoną do wsłuchiwania się w gwarę. To świadczy o tym, że gwara ma silną pozycję społeczną. Nie tylko zaplecze historyczne, ale także wielkie zaplecze emocjonalne. Cieszy renesans śląskiego śpiewania i konkurs Ślązak Roku. Ludzie się z gwarą utożsamiają, bo chcą być skądś – nie skądkolwiek. Z tej ziemi, z ich ziemi.

Więc gwara nie skończy w skansenie?

Część słownictwa w oczywisty sposób zanika, ale gwara ma przed sobą przyszłość. I to także w okręgach najsilniej zurbanizowanych, gdzie wraz z rozwojem przemysłowym miasta wchłonęły ludność wiejską i w ten sposób w mieście zaczęło się mówić językiem wiejskim. Przyznaję, że większość słów w naszym słowniku pochodzi od osób starszych. Ale też są wśród naszych informatorów tacy, którzy z gwary wyszli i poszli w polszczyznę. Dla jednych i drugich gwara oznacza tożsamość, bliskość i swojskość. Są wśród nich prof. Miodek i biskup pomorski Tomasz Jeż, którzy polszczyznę śląską poznali *na placu*. Co wcale nie znaczy, że się nią gorzej posługują od tych, którzy wynieśli gwarę z rodzinnego domu.

———

***Marek Baster**, dziennikarz, redaktor miesięcznika „Śląsk”, pracownik Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Zginął tragicznie w wypadku samochodowym 7 kwietnia 2004 r.*

Pisarz, który nie zasłużył na zapomnienie. Jan Bielatowicz (1913-1965).

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Będąc jeszcze na studiach w Irlandii nawiązałem kontakt z londyńskim tygodnikiem „Życie” redagowanym przez szereg lat przez Jana Tokarskiego, a po nim Jana Bielatowicza. Tego ostatniego poznałem osobiście podczas jednej z wizyt w redakcji zapewne za pośrednictwem pracujcącego tam kolegi z Irlandii, krytyka i poety, Wojciecha Gniatczyńskiego.

Czy Bielatowicz był oryginałem? Na drzwiach pokoju

redakcyjnego wisiała kartka z apelem do interesantów, aby, nim wejdą, zastanowili się nad celowością wizyty osobistej. Jeżeli nie była ona konieczna, to niech napiszą list, który redaktor mógł przeczytać w wygodnym dla siebie czasie. Jeżeli śmiałek przeszkodę pokonał, to zastał siedzącego nad stertą papierów czerstwego pana o rudej, kędzierzawej czuprynie. Ponoć w koszu redakcyjnym stała butelka z winem, z której dało się pociągnąć trochę inspiracji.



Jan Bielatowicz, fot. Tarnowski Kurier Kulturalny.

Bielatowicz był autorem antologii poezji żołnierskiej, tomu opowiadań z czasów włoskiej kampanii i uroczych wspomnień z rodzimego Tarnowa pt. „Książeczka”. Ale najżwawiej władał piórem krytyka i to nie tylko w materii literackiej. Był sarmatą co się zowie i miał swoje predylekcje i antypatie. Przywiązany do tradycji i historii polskiej, stał się Rejtanem ich wartości podejrzliwie węsząc raz po raz wpływy moderny. Na tle bladej krytyki emigracyjnej był postacią kontrowersyjną i czupurną. Potrafił odsądzić od czci i wiary i tym samym szerokim gestem rozdawał laurki. I tak o powieści Józefa Mackiewicza „Droga donikąd” powiedział śmiało:

> Jest to bowiem najpiękniej napisana powieść powojenna.

O tomiku Łobodowskiego „Z dymem pożarów”:

> Jest to bowiem najpiękniejsza i najwznioślejsza liryka polska piętnastolecia, od dni klęski aż po dzień dzisiejszy.

Bielatowicz nie wyczerpał na tym zasobu superlatywów. Niedługo potem napisał o zbiorze wierszy Wierzyńskiego „Korzec maku”:

> Jest to bodaj najwybitniejszy tom poezji polskiej, jaki pojawił się na obczyźnie po roku 1939.

Piszący te słowa także doczekał się pochwał za swoja twórczość naukową i przekładową. Nie znaczy to jednak, by Bielatowicz nie potrafił strofować poczynań np. grupy młodych pisarzy, do których wówczas należałem. Zresztą tolerancja pozwalała nam drukować jego cierpkie uwagi w naszym własnym piśmie „Kontynenty", uwagi krytykujące naszą poezję i publicystykę. Na wieczorze poświęconym tematowi „Czy pogrzebać 'Kontynenty'", Bielatowicz bez ogródek zacytował Słowackiego:

> „Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy". Dęby i pomniejsze drzewa starego lasu naszej literatury padają jedno po drugim, co rok, co miesiąc, co tydzień. Las tak już przerzedł, że można mówić raczej o reliktach. Czy więc nie czas porzucić ogródki działkowe i poetyckie poletka doświadczalne, a zająć miejsca tam, gdzie rośnie las? Czy nie czas stać się lasem?



Anglia. Jan Bielatowicz z żoną na spacerze, fot. Tarnowski Kurier Kulturalny.

Postawa twardego emigranta politycznego nie przeszkodziła Bielatowiczowi bardzo wcześnie zająć stanowisko odważne i światłe, gdy radził nie zrywać łączności z krajem.

> ...Jakąż zatem rolę pożyteczną dla całego narodu spełnić może jego emigracja? Śmiertelnym i samobójczym grzechem byłoby odwrócenie się od Kraju. Polska mimo

> niewoli nie przestała być ojczyzną naszej duszy. Żyje nadal, walczy, tworzy. Z czcią i zdumieniem podejmujemy na obczyźnie okruchy dochodzące z ojczyzny. Dochodzą stamtąd liczne świadectwa, że Polska nie przestała być twórczą i ambitną siostrą kultur zachodnich. Podstawą naszego działania kulturalnego musi pozostać twórczość w Kraju. W oderwaniu od niej bylibyśmy dla niej bezużyteczni.
>
> Zadania polskiej emigracji kulturalnej są dwojakie: dotrzymać kroku rozwojowi kultury w Polsce i próbować gromadzić i uzupełniać te dobra kulturalne, których Kraj nie może dziś wytworzyć. Troskę o przyszłość pozostawmy Krajowi. Da on sobie radę z pokostem obcych wpływów, gdy przyjdzie stosowna chwila. Owszem powinniśmy przechować szacunek dla ideałów kultury i tradycji narodowej, ale nie wolno nam ulegać złudzeniom, że jesteśmy ich wyłącznymi kapłanami.

Artykuły i szkice rozproszone w gazetach i pismach czekają na wydanie książkowe, aczkolwiek w tomie „Literatura na emigracji” (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1970) żona pisarza zebrała niektóre teksty tyczące zagadnień literackich. Powtórzę za nią ostatnie, skromne słowa jej wstępu:

> Dobrze, że choć ta książka przypomni czytelnikowi pisarza

> emigracji – pisarza, który nie zasłużył na zapomnienie.



Tablica pamiątkowa na domu Jana Bielatowicza w Tarnowie, fot. Tarnowski Kurier Kulturalny.

Wiersz „Pogrzeb

ziemi”



fot. tapeciarnia.pl

Tadeusz Turkowski *(USA)*

Pogrzeb Ziemi

Słychać jakby jakieś dzwony

Biły w niebie zrozpaczone.

A w tych dzwonach z całej siły

Biły serca Demonowe.

Czy pan słyszy, te hałasy?

I ten łomot niesłychany?

Wszechświat nagle znieruchomiał

Jak piorunem przeżegnany.

Jakby, dzwony się zmagały

Z niebieskimi armatami –

Kto głośniejszy!

Jakby, złotym nieba wrotom

Dech ostatni odebrało.

Jakby z nieba na syrenach

Pogotowia przerażone

Gdzieś na pomoc wyruszyły.

Jakby czarnym dziurom w niebie

Kolory się pomyliły.

Jeszcze nigdy od zarania,

Nie widziano we wszechświecie

Podobnego zamieszania.

Jak to? Panie! To pan nie wie?

Wszechświat chowa świętą Ziemię!

Swoją córkę – jedynaczkę

Najpiękniejsze – swoje cacko.

Zmarła w nocy. Niespodzianie.

Wciąż nie mogę w to uwierzyć,

że nieboszczka w grobie leży.

Serce! Panie. Zakażenie.

Z rzek, z powietrza i strumieni!

Z braku cienia! Bo wycięli

Po kryjomu – wszystkie drzewa.

Sam widziałem w poniedziałek.

Gdy wracałem. Powalone

Jowiszowym huraganem.

Jak brat jeden albo siostra,

Konające w wielkiej męce

W ciszy, w smutku, bezszelestnie

Trzymające się za ręce.

Jeszcze w Piątek czule stały

Blisko siebie. I szumiały

Gałęziami między sobą –

Nam i ziemi i wszechświatu

Ulubione pieśni Boże.

Będąc pewne, że są częścią

Niebieskiego majestatu…

Nikt nie może się doliczyć

Ile, panie, drzew wycięli.

Drzewobójstwo niesłychane!

Pozbawili Ziemię cienia,

Ptaków domu, kwiatów woni!

Pozbawili Ziemię chłodu,

Kroplę rosy – pozbawili –

czystej wody!

Ludzkich dusz i dusz zwierzęcych

Pozbawili… złudy szczęścia.

Niech pan spojrzy. Wszędzie słupy!!!

Słupy – Trupy, wokół panie.

Cmentarz smukłych, wybujałych,

szumiejących, rozśpiewanych,

żywcem ściętych, świętych, drzew

wymordowanych.

Liczbę ofiar się ocenia na Tryliardy

(czytaj: 10 do 44)

Tryliard świętych drzew wycięli.

A ostatnie – to Najświętsze

Święte drzewo… zbeszcześcili.

święte Drzewo – zbeszcześcili.

Nie ma po nim nawet śladu,

Drzewo zwiędło i zmarniało,

Od rozpusty i od grzechu.

Nazwa tylko pozostała,

Nad świętymi Aniołami…

Nam strapionym na pociechę.

Czyżby nikt nie zauważył?

Co wyprawia tu zuchwały

I bezmyślny człowiek mały?

Znikczemniony trzydziestoma

srebrnikami.

Otoczony handlarzami,

Przekupiony przez Szatana,

Był zajęty wojowaniem.

Od początku, od zarania,

Był zajęty wojowaniem.

Na usługach był Szatana.

Zburzył wszystko, porozbijał

Co zostało tu stworzone

Przez mądrzejszych, tu przed nami.

Nie pomyślał: że się zjawił

Tu na chwilę. I że srebro

tu zostawi.

Rozbój zaczął od atomu.

Rozbił atom. I rodzinę.

Zabił życie. A nie stworzył.

Zniszczyl nawet to w co ziemia

Tak obficie obrodziła.

Prawdę z fałszem wymieszali

Białe z czarnym, czarne z białym.

Nie wiadomo teraz panie:

Co jest czarne, a co białe.

Co jest tłuste, a co chude

Co jest mądre, a co głupie.

Co jest łyse, a co rude.

Jak pod ścianą ci ustawią

Szereg pań ci nieznajomych

Nie rozpoznasz nawet twarzy

Twojej pierwszj ślubnej żony.

Jeden to podobno, panie,

Dwa tysiące miał kochanek.

Książkę nawet mu wydali. –

Listę “pań” z telefonami.

Szukał szczęścia? Na ulicy

Brukowanej?…

w “cudzysłowiu” z Madonnami.

Nic dziwnego, że nie znalazł.

Inny, w kosmos się wystrzelił

w swoim własnym samochodzie,

Zdążył jeszcze złapać w biegu

Swą najdroższą, ukochaną,

Złotą trumnę, wybijaną

Czerwonymi Rubinami.

Pojawiły się potwory

Chłopo–baby, babo–chłopy

Kolczyk w oku, kolczyk w uchu,

Tuzin pereł w każdej wardze.

Trzy w języku, cztery w brzuchu.

Niech pan może mi pomoże,

Tylko sobie wyobrazić

Noc poślubną tych dwóch panów…

Wypachnionych pachnidłami. –

I z końskimi ogonami…

Ja nie mogę.

Szczęścia trzeba szukać blisko.

Tu na Ziemi, nie daleko – Nienaziemi.

Szczęście szuka, zawsze szczęścia

Tam, gdzie komuś go brakuje,

Tam, gdzie widzi puste serce –

Chce zamieszkać, a nie w tłumie.

Nie w luksusach i diamentach…

Ale tam gdzie oprócz swego

Bije tęsknie inne serce.

Raz przypadkiem podsłuchałem

Jak dwa szczęścia rozmawiały,

że już były raz szczęśliwe

Ten raz jeden, raz jedyny,

Jak pragnęły, i jak chciały!

że na drugie albo trzecie

Nie ma miejsca i nie będzie,

że to pierwsze i jedyne

Wypełniło całą przestrzeń.

I czas cały. Teraźniejszy,

Przyszły, przeszły.

I żyć będzie, nawet wtedy,

Kiedy tam już nic nie bedzie.

Szczęście na dotknięcie ręki

Było zawsze i czekało.

– U stóp twoich, się łasiło…

Tylko ty go nie widziałeś

A co na to wszystko, Pan Bóg ?

Czy się zjawił na pogrzebie ?

Pan Bóg?…

Jedną tylko łzę uronił

i przeżegnał, świętą Zemię.

Pocałował w czoło dziecko

I powiedział:

“Witaj, Ziemio.

Moja córko – jedynaczko.

Najpiękniejsze Moje CACKO…”

(obok stała Venus niema)

Czas by ostrzec wszechświat cały,

Przed pewnymi następstwami,

że jeśliby się pojawił

Jakikolwiek przybysz z ziemi…

Będzie z ziemi, której nie ma

> Będzie z ziemi co istniała.

***



Tadeusz Turkowski

Tadeusz Turkowski był aktorem legendarnego Studenckiego teatru “Hybrydy” w Warszawie w latach 1961-1973. Wraz z Janem Pietrzakiem i Janiną Ostałą występował w pierwszym programie kabaretowym „Kąpiel w Rubikonie” (1961). Następnie w programach kabaretowych Wojciecha Młynarskiego “Radosna

Gęba Stabilizacji” (1962) i “Ludzie to Kupią” (1963). Jesienią 1963 roku Wojciech Młynarski odchodzi z teatru „Hybrydy”, do współpracy przychodzą: Jonasz Kofta, Stefan Friedmann i Maciej Damięcki. Zaczęła się era Jana Pietrzaka i Jonasza Kofty (1964-1968). Wraz ze Stefanem Friedmannem i Maciejem Damięckim, Tadeusz Turkowski kontynuuje swój udział programach kabaretowych Jana Pietrzaka i Jonasza Kofty. Były to najlepsze lata teatru „Hybrydy”.

W czasie 12-letniej współpracy z teatrem „Hybrydy”, Tadeusz Turkowski udzielał się również w licznych programach poetycko-muzycznych. Przyjaźnił się z wieloma młodymi poetami: Edwardem Stachurą, Zbigniewem Jerzyną, Barbarą Sadowską, recytując ich wiersze na spotkaniach autorskich.

W latach 1963-1965 brał udział w Międzynarodowym Festiwalu Teatrów Studenckich w Rouen we Francji i na Festiwalu w Istambule w Turcji.

Jan Pietrzak, kierownik teatru w latach 1961-1968, w 1968 roku został zmuszony przez władze komunistyczne do odejścia z “Hybryd”. Tadeusz Turkowski, odziedziczył po nim funkcję kierownika teatru, którą pełnił aż do chwili wyjazdu z Polski w 1973 roku.

Teatr „Hybrydy”, jak sam twierdzi, był wielką przygodą w jego

życiu. Równolegle studiował na wydziale Mechaniczno-Technologicznym Politechniki Warszawskiej, którą ukończył w 1966 roku.

Po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych pracując w swoim zawodzie, nigdy nie zerwał kontaktu z ukochanym językiem polskim i polską poezją. Od 40-tu lat recytuje polskie wiersze dla Polaków mieszkających w Ameryce. Uczestniczył w ponad 50-ciu różnego rodzaju spotkaniach i wieczorach poetycko-muzycznych. Występował w Polskich Fundacjach Kulturalnych, u Weteranów, w polskich klubach, kościołach, szkołach i w domach prywatnych. Występował również w Polonijnych Kabaretonach na Brooklynie, organizowanych przez redaktora Janusza Szlechtę z „Nowego Dziennika", między innymi z wybitnym muzykiem – saksofonistą Krzysztofem Medyną.

Ach ci poeci!



Florian Śmieja

Witold Gombrowicz w swoim “Dzienniku” napomknął, że go źle czytam. Widocznie uważał, że powinienem obrać inną metodę. Zrobię to, jak czas pozwoli. Pisał do mnie w sprawie tłumacza, któryby potrafił przekładać jego teksty na język hiszpański. Próbowałem mu pomóc, ale nie wiem, czy ostatecznie z moich sugestii skorzystał.

***

Wymieniając kiedyś współczesnych polskich prozaików, którzy równocześnie byli autorami dobrych wierszy, otrzymałem list od **Józefa Wittlina** z Nowego Jorku, bym o nim nie zapomniał, bo i

on należał do tej kategorii. Nie tylko o nim pamiętałem, ale nawet odwiedziłem jeszcze znalazłszy się na amerykańskim kontynencie.

***

Wisławę Szymborską poznałem w redakcji "Tygodnika Powszechnego". Kiedy wszedłem do pokoju Jerzego Turowicza, zastałem go z poetką, która akurat zdawała relację z podróży do Niemiec, gdzie odebrała nagrodę Goethego. Wręczyłem jej emaliowy znaczek w postaci miniaturowej kanadyjskiej flagi. Kiedy wysłałem jej artykuł z przełożonymi na język hiszpański jej dwoma wierszami z gazety kolumbijskiej, otrzymałem charakterystyczną kartkę z ryżym kotem i podziękowaniem. Teraz kot pilnuje mojego depozytu w Bibliotece Uniwersytetu w Rzeszowie.

***

Zaproszenie **Czesława Miłosza** do Londynu przez naszą grupę młodych poetów spotkało się z protestem przeciwników politycznych z **Zygmuntem Nowakowskim** na czele. To on w felietonie w "Dzienniku Polskim" z 3 października 1957 roku napisał

> To pewna, że odczyt nie powinien odbyć się w gmachu, przyozdobionym sztandarami wojska polskiego. Trzeba ten gmach wykadzić.

Jako redaktor miesięcznika, który Miłosza zaprosił napisałem wtedy list do "Dziennika Polskiego". List się ukazał mimo, że Nowakowski był jednym z dyrektorów dziennika, a list nie był elegancki.

Atoli trzy lata po incydencie z Miłoszem, Nowakowski napisał felieton *Kula u nogi?* Był to błyskotliwy komentarz do dyskusji, jaką wówczas przeprowadziliśmy w naszym piśmie na temat języka zastanawiając się, czy w naszej sytuacji polszczyzna była dla nas najwłaściwsza, czy nie należało się od niej uwolnić i przylgnąć do języka angielskiego. Zygmunt Nowakowski ani przez momemt nie wątpił, że jednak zwycięży język polski.

Cytując fragment mojego przekładu hiszpańskiej prozy poetyckiej, nie szczędził mu najwyższych pochwał i zakończył tak:

> I czy ktoś, kto tak pisze, może kiedykolwiek wyrzec się pisania po polsku? Czy polszczyzna i polskość może być u niego kulą u nogi?

Mimo że widział, iż stare i młode pokolenie pisarzy na uchodźstwie odnosi się do siebie z obojętnością i chłodem,nie miał wątpliwości co do tego, który język młodzi wybiorą. Decyzja nie zapadnie w dyskusji, argumentował:

> Ona wykluje się sama, w samotności, w pasji, w trudzie, w męce, w wewnętrznym szamotaniu się. Decyzja taka nie może być dziełem rozwagi. Ona przyjdzie pewnego dnia jak piorun. I będzie wyrazem solidarności nie wykalkulowanej na zimno, nie wyrozumowanej, ale radosnej, tajemniczej solidarności z Polską, przed którą nie da się uciec nigdzie, nigdzie ukryć, nigdzie zamknąć.

I zakończył:

> A język, zamiast kulą u nogi lub wędzidłem, stanie się ostrogą do lotu.

Po latach wiem, że przeczucia Nowakowskiego jednak go nie zawiodły, także w odniesieniu do mnie samego.



Pedagodzy Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

W pierwszych latach działalności Polskiego Uniwersytetu Na

Obczyźnie w Londynie, to znaczy w latach pięćdziesiątych, studenci mieli rzadką okazją, by słuchać wykładów znakomitych pedagogów sprzed wojny. Byli tam m.in. humaniści tej rangi co profesor Władysław Folkierski, Stanisław Kościałkowski, Stanisław Kott, Marian Kukiel, Stanisłw Stroński, Stanisław Świaniewicz czy Władysław Wielhorski.



Władysław Folkierski (1890-1961), fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, Wikipedia.

Jako świeżo upieczony filolog iberyjski zabrałem się do udowodnienia tezy Edwarda Porębowicza, wedle której oryginałów niektórych wierszy Sebastiana Grabowieckiego (1545-1607) należało szukać wśrtód poetów hiszpańskich. Zamknąłem się na trzy letnie miesiące w bibliotece *British Museum* w Londynie. Do ostatnich dni pilne poszukiwania nie przynosiły żadnego efektu. Pod koniec zacząłem lustrować autorów włoskich. Bodaj w ostatni dzień znalazłem poszukiwane oryginały u Bernarda Tassa (1493-1569) w jego "Salmi".

Napisałem w te pędy artykuł o moim odkryciu. Konkludowałem w nim z triumfem:

> Z powyższego wynika, że Sebastian Grabowiecki hiszpańskiej literatury nie znał.

Profesor Folkierski, który mój tekst przeczytał z zainteresowaniem, z pochopną konkluzją się nie zgodził. Przyjął dopiero tekst, kiedy poprawiłem wniosek na:

> Jeżeli Sebastian Grabowiecki znał literaturę hiszpańską, to w jego twórczości nie znajdujemy żadnych śladów tej znajomości.

Niby to drobnostka, lecz wymagał precyzji zacny professor. I słusznie.

Wewnętrzny rejestr myśli. Część II.

Narracja a psychologizm w wybranych utworach Piotra Guzego (1922-2018).



Piotr Guzy

Marcelina Janisz

Problematyka emigracyjnych utworów Piotra Guzego koncentruje się przede wszystkim wokół psychiki człowieka. Dominującym aspektem jest poszukiwanie pierwiastków zła w ludzkiej duszy. Według pisarza człowiek XX wieku poprzez doświadczenie traumy totalitaryzmów zostaje skazany na pamiętanie, retrospekcje kształtują jego życie.

W wywiadzie radiowym z 1967 roku Piotr Guzy opowiadając o swojej pierwszej powieści emigracyjnej – *Krótki żywot bohatera pozytywnego* zaakcentował juz wówczas krąg swoich literackich zainteresowań, które stały się dla niego podstawowym kanonem obecnym w jego prozie:

> Mnie interesuje psychika człowieka. (…) problem zła, problem moralny, moralność w świecie, w którym żyjemy. Jak to jest możliwe, że ludzie, którzy (…) są dobrzy, którzy prowadzą normalne (…) cywilizowane życie są jednocześnie zdolni do tak potwornych zbrodni. Mnie ten problem interesuje, problem upadku człowieka, na który składają się zarówno czynniki wewnętrzne w samym człowieku, jakieś (…) wrodzone słabości i zarówno rzeczywistość zewnętrzna, która w jakiś sposób nie dostarcza człowiekowi hamulców, przy pomocy których on byłby zdolny opanować to zło, które ostatecznie w każdym człowieku siedzi. My wszyscy jesteśmy zdolni do potwornych zbrodni i te zbrodnie „wyżywamy" w naszych snach, (…) w filmach kryminalnych, w książkach, w których roi się od morderstw, perwersji, itd. Ale sami nie popełniamy tych zbrodni[29].

Pisarz, zarówno w powieściach i opowiadaniach, podejmuje się uchwycenia psychologicznych rysów ludzi zmagających się z własnym, wewnętrznym złem lub warunkami, które wydobywają

je na światło. Pobrzmiewa w utworach echo prozy psychologicznej ze względu na sposób narracji („personalna") i analizę psychologiczną, czyli „opis procesów psychicznych bohatera oraz ich motywacji wewnętrznej"[30]. Takie konstruowanie narracji odnajdziemy m. in. w powieści *Requiem dla pani Tosi:*

> W głowie Tosi zahuczały bowiem echa przeszłości. Z dna pamięci podniosły się nigdy dostatecznie głęboko nie pogrzebane sprawy, wypłynęły i jak lawa coraz szerszym strumieniem ogarniają jej zbolałą świadomość. Tosia musi się bronić. Tosia musi coś zrobić, czymś się zająć, żeby ten natłok słów, gestów, scen wyzwolonych niechcąco przez Pawła zatrzymać, zepchnąć z powrotem na dno, bo zabić ich w sobie nigdy przecież nie zdoła, więc niech przynajmniej od niej odejdą , niech jej w tej chwili nie męczą[31].

Studium psychologiczne głównej bohaterki to ścieranie się pamięci, wspomnień z teraźniejszością. Na pierwszy plan wysuwają się emocje Tosi, jej jednostkowa perspektywa odbierania rzeczywistości, przeplatana całą gamą uczuć. Tak prowadzona narracja ma na celu pełne oddanie stanów wewnętrznych bohaterki, w sposób subiektywny, pozbawiony dystansu narratora.

Niewątpliwie ważnym elementem narracyjnym jest strumień świadomości pełniący funkcję mimetyczną, portretującą ludzki umysł[32]. Także tok fabularny wydaje się być prowadzony chaotycznie, co podyktowane jest zaakcentowaniem psychiki postaci, jej perspektywy odbioru rzeczywistości. Zilustrowanie myśli, wewnętrznego głosu zdaje się być zabiegiem dominującym w prozie Guzego. Poczynając od omawianej już książki – monologu *Krótki żywot bohatera pozytywnego*, strumień świadomości konstruuje rysy postaci i narrację. Wydaje się wiec, że Guzy czerpie z raz sprawdzonej techniki narracji. Za egzemplifikację niech posłuży fragment utworu *Stan wyjątkowy* i narracja Romana Niesztora dotycząca jego zaginionej żony Aleksandry:

> nigdy jej tego nie wybaczyłem, może gdyby potem wszystko się było między nami ułożyło normalnie, gdyby kochała to dziecko, nawet nie próbowała, taka wyrodna matka! ile razy ją w myślach dusiłem za to! leży na łóżku, siadam obok, gładzę jej szyję, Romcio się nie zmienił nic a nic (…), dobrze, niech tak myśli! wpatruję się w jej oczy, śmieją się, teraz! i oburącz ją za gardło i ściskam, z jej ust wydobywa się pluskotliwy charkot, ukarzę cię, wyrodna matka, ty! toś ty mi chciała moje dziecko! ach, Boże, dlaczego ja tak ciągle? no już przestań, przestań! zwolnij mięśnie, teraz zrób kilka oddechów, już lepiej? Nie wiem, skąd to się we mnie bierze,

> ile razy sobie przypomnę, (…) Wyrodna matka, ty! toś ty mi chciała moje dziecko zabić! i czuję, jak mięśnie się we mnie napinają, jak cały się sprężam w sobie, wyrodna matka! tak! tak! wyrodna matka! i ściskam i czuję jak pod palcami trzaskają chrząstki jej gardła, wyrodna matka! moje dziecko chciała mi![33].

Konstruowanie narracji jest powiązane przede wszystkim z perspektywą postaci, a co za tym idzie skorelowanie rzeczywistości z odbieraniem jej przez bohatera literackiego. Aby przybliżyć spersonalizowane postrzeganie postaci pojawia się mowa pozornie zależna oraz monolog wewnętrzny, a także tzw. „rytm pamięci" (według niego budowany jest świat przedstawiony)[34]. Z mową pozornie zależną przechodzącą w monolog wewnętrzny mamy do czynienia w *Zwidach na wysokościach*, kiedy to narrator odsłania myśli głównego bohatera, by w końcu oddać mu głos:

> Michał Amadeusz Żywoń nie ma łatwego życia. Znajduje się w bolesnej rozterce. Miotają nim różne racje. Nie ukrywa, że byłoby mu ciężko rozstać się ze swoją ambicją. Jest w czołówce. Dobrowolnie się stamtąd wycofać? Wyrzec się wszystkiego, co dotąd nadawało sens jego życiu? Zakładając jednak, myśli niepostrzeżenie zbaczają znowu w kierunkach tych grzęzawisk, że będę nadal pisał, nawet, powiedzmy, z

> pewnymi ustępstwami na rzecz ich doktryny[35].

W narracji zostają wyeksponowane retrospekcje[36] pozwalające na odtworzenie życiorysu postaci. Przeszłość bohatera tworzą „istotne przeżycia urazowe”[37], które kształtują jego teraźniejszy portret psychologiczny. Taki model narracji występuje w opowiadaniu *Odwiedziny u duchów*:

> Karol prowadzi samochód, zatopiony w niedobrych myślach. Cały wszechświat jego myśli wypełnia w tej chwili obraz ojca na klęczkach przed tym niemieckim oficerem, z obiema rękami błagalnie ku niemu wyciągniętymi. I słyszy załamujący się w płaczu głos: ***Bitte, bitte nich schiessen!*** To jest wszechświat mieszczący się w jego głowie[38].

„Urazem” dla głównego bohatera jest wspomnienie ojca korzącego się przed niemieckim żołnierzem. Powraca on wielokrotnie w opowiadaniu i dominuje w umyśle Karola, który opowiada żonie o wojennych losach rodziny. Nękający go obraz przewija się w jego głowie niczym film:

> Karol nie potrafi wyjść poza wywoływane z pamięci wydarzenia, w tle każdej sceny, każdego widoku, który

> pamięć wywołuje na wewnętrznym ekranie, widzi ojca na klęczkach przed tym Niemcem. Właściwie to jest tak, jakby wszystko, co się wydarzyło owego dnia, stało się właśnie tak, a nie inaczej, żeby w pełni słonecznego dnia na jego żywych, wybałuszonych od bólu oczach, widok ojca tak paskudnie korzącego się przed tym Niemcem zdruzgotał jego nie w pełni jeszcze ukształtowany obraz świata. Odtąd obraz ten miał być na zawsze naznaczony skazą, pęknięciem nie do sklejenia[39].

Należy zauważyć, że w dwóch pierwszych powieściach emigracyjnych Guzego: *Krótki żywot bohatera pozytywnego* i *Stan wyjątkowy* przeważa narracja personalna, strumień świadomości, który oddaje szczegółowo i z pietyzmem cały wachlarz stanów psychicznych bohaterów. W kolejnych powieściach – *Requiem dla pani Tosi* czy *Zwidy na wysokościach* pojawiają się dialogi, które przeważają nad wewnętrznymi monologami postaci. Autor częściej posiłkuje się narratorem trzecioosobowym, pozwalając mu na analizowanie procesów psychologicznych, mechanizmów pamięci. Z kolei w opowiadaniu *Ostatnia posługa* pojawia się narracja w pierwszej osobie liczby pojedynczej, co wpływa na zniesienie dystansu i zbliża formę utworu do spowiedzi, intymnej opowieści. Guzy często posługuje się modelem narracji przypominającym formułę spowiedzi, zwierzenia (mi. in.: *Krótki żywot bohatera pozytywnego, Stan*

wyjątkowy, Requiem dla pani Tosi, Będziesz miłował kata swego, *Wstyd*). Stworzenie atmosfery intymności, zaufania również sprzyja wiwisekcji procesów jakie zachodzą w ludzkiej psychice. Niech za przykład takiej spowiedzi – narracji posłuży fragment powieści *Requiem dla pani Tosi*, kiedy bohaterka zwierza się kochankowi:

> To, co teraz następuje, jest generalną spowiedzią z jej życia. Tosia mu opowiada o sobie, swoim domu, najpierw tak ogólnie, skrótowo kluczowe punkty, potem do pewnych spraw wraca, żeby je rzucić na szersze tło. Powiada: – Ja się wychowałam w bardzo bogobojnej rodzinie. Od kiedy pamiętam wszystko się u nas obracało wokół kościoła, który notabene był jakieś dwieście metrów od domu. Dzwony kościelne… Jeszcze dziś je słyszę. Ciągle trzeba było do kościoła, ranne msze, sumy, nabożeństwa wieczorne, adoracje najświętszego sakramentu, roraty, wszystko… Jasne, że byłam w Sodalicji Mariańskiej. Mama należała do Bractwa Różańcowego, to z nią musiałam na różaniec… I nigdy cię nie odstępował strach, bo na każdym kroku czyhał grzech i ostateczne potępienie. Do kina… Mój drogi, nie uwierzysz, ja dopiero po maturze, jak się przeniosłam na studia do Warszawy, to zaczęłam chodzić do kina. Kino to była rozpusta[40].

O wiele bardziej emocjonalna spowiedź występuje w utworze *Będziesz miłował kata swego*. Ignacy, zmuszony do podpisania zobowiązania do współpracy z bezpieką, dzieli się swoją mroczną tajemnicą z przyjacielem:

> No więc już wiesz, z kim masz do czynienia. Mianowicie ze świnią. Jestem szpiclem, donosicielem, prowokatorem (…). Smutne to jest wszystko. Obnażył się, teraz jakby spoglądał na swoje odbicie w lustrze: jakaż to żałosna kreatura, strzęp człowieka (…). Ignacy płacze. Między jednym chlipnięciem a drugim, (…) skarży się na swój los, boleje nad tym, co go spotkało: – Paweł, mówię ci, ja już więcej nie mogę. Ja – powtarza się, bo już raz to powiedział – idę czasami ulicą w biały dzień i płaczę. Przecież, słuchaj, Paweł, ja znowu nie jestem taki głupi, wiem, że w każdym człowieku siedzi dobro i zło. Normalny człowiek idzie przez życie i to zło nie dochodzi u niego do głosu. Dlaczego Pan Bóg pozwolił, żeby ono we mnie tak podniosło swój obleśny łeb i tak się we mnie rozwielmożniło? Czy mnie też się nie należy trochę zmiłowania? Paweł, ja bym nigdy, ale to nigdy! nigdy! bym nie był podejrzewał, że we mnie aż się mrowi od tego robactwa[41].

Znaczącą rolę odgrywa tu pamięć oraz „czas psychologiczny”, który ma wymiar subiektywny, a jego zakres zależy od psychiki

postaci. Proza psychologiczna powojenna splata ze sobą dwie zasadnicze funkcje – prezentowania „życia wewnętrznego bohaterów” oraz „ważnych faktów historycznych”[42]. W prozatorskich ujęciach Piotra Guzego historia związana z okresem PRL-u, wojną, „rzeźbi” psychologiczne rafy ludzkiego umysłu, wpływając na sferę osobowości i tożsamości. Psychologizm i historyzm zdają się iść w parze, budując portret Polaka – świadka przeszłości XX wieku.

Zazwyczaj kreowane postacie w prozie Guzego są obarczone zniewoleniem zakotwiczonym w przeszłości, systemie komunistycznym, uzależnieniem od drugiego człowieka. Proza psychologiczna Guzego to również próba literackiego ujęcia egzystencji „człowieka gwałconego przez historię”[43]. Bohaterowie Guzego nie są papierowymi marionetkami, ale odzwierciedlają skomplikowaną, dwoistą naturę człowieka:

> Nie ma ludzi, którzy są bez reszty dobrymi i względnie bez reszty złymi. Każdy człowiek (…) jest pobojowiskiem dla walki pomiędzy złym i pomiędzy dobrem. Trochę w tym (…) manicheizmu. (…) Nie mogę pogodzić się z tym, żeby jakiegokolwiek człowieka całkowicie, kompletnie potępić, bo mnie się wydaje, że zawsze w człowieku istnieje jakaś iskierka tylko trzeba ją znaleźć, rozdmuchać ją. Nawet największy zbrodniarz prawdopodobnie posiada taką

> iskierkę. Ostatecznie upadli aniołowie to byli aniołowie. Zbrodniarz, to jest niejako odwrócona strona świętego (…) ja wierzę w człowieka, wierzę w to, że człowiek może się podnieść, (…) jest zdolny do tego żeby walczyć ze złem. Czy wygra, czy przegra to inna sprawa, ale wierzę, że istnieją w nim te siły, (…) impulsy, które dążą do tego żeby go skonfliktowały ze złem które go otacza i które on sam w sobie widzi[44].

„Wiara w człowieka" zdaje się być osobistym *credo* pisarza. W prozie dąży on do pokazania swoich bohaterów w pełnym świetle, od strony psychologicznej, z bagażem przeszłości, emocji, trudnych relacji międzyludzkich oraz z własnymi fobiami, psychozami i traumami. Idealnym przykładem jest tytułowa bohaterka powieści *Requiem dla pani Tosi*. Autor akcentuje potok myśli, które nieustannie „zalewają" kobietę:

> na Tosię spada jedna z tych chwil, które jakby umieszczają aktualny moment w tle całego dotychczasowego życia, rozpryskami, strzępami, w migawkowych rozbłyskach: Biegnie, w białej tiulowej sukience, z siatką na motyle w ręce, poprzez kwiecistą łąkę (…) W Saskim Ogrodzie na ławce obok jakiegoś pomnika, z Jerzym, który ja obejmuje przez plecy, na gałązce pobliskiego krzaka przycupnął maleńki ptaszek (…) Pan mylnie interpretuje moją

> uprzejmość, to mnie stawia w dwuznacznej sytuacji… Jerzy z rękami omotanymi drutem kolczastym nad otwartą fosą… Co dopiero wyszła z wody, spojrzenie Marcina myszkującego po jej ciele… I kiedy z przedziurawionym od kuli mózgiem zwalał się do tego rowu… Kucając na płyciźnie morza wypłukuje z siebie nasienie tego człowieka… Dlaczego ja tam poszłam, na ten dansing, przecież wiedziałam, do czego to może doprowadzić… To ja ciebie, kurwa, z tego sowieckiego piekła wybawiłem… I kiedy z przedziurawionym od kuli mózgiem spadał do tej fosy… (…) Pod Tosią jakby się otwarły ziejące zielonym ogniem czeluście, w które spada krzycząc, że tak, że jest winna, ale trzeba jej przebaczyć, przecież nie można całe życie płacić za jeden błąd[45].

W tak poprowadzonej narracji przebijają się fragmenty traum: gwałt, śmierć męża w Katyniu, krótkotrwały romans. Ich „ciężar" podkreślają bardzo dosadne i brutalne słowa – myśli, tkwiące głęboko w umyśle bohaterki. Atakujące bohaterkę wspomnienia pogrążają ją w stanie permanentnej aberracji.

Takie portretowanie człowieka, jako istoty dwoistej pojawia się u Carla Gustava Junga i jego kategorii cienia, który „reprezentuje ogólnoludzką ciemną stronę w nas, wrodzoną każdemu człowiekowi skłonność do rzeczy podrzędnych, mniej wartościowych i ciemnych"[46]. Cień jest naszą nieodłączną

częścią, tą „ciemną stroną”, która najczęściej ukrywa się w podświadomości. To „szuflada”, do której człowiek wrzuca negatywne doświadczenia, przeżycia, niezrealizowane aspiracje – wszystko to, co może się stać źródłem frustracji i psychozy. Cień wskazuje, że w człowieku również jest zło, które pomimo tłumienia może zmaterializować się w konkretnej sytuacji[47]. Szczególna w tym kontekście wydaje się być powieść *Wilk stepowy* Hermanna Hessego, pokazująca dualność natury ludzkiej, w której drzemie istota człowieka i wilka. Zarówno bohater powieści jak i sam autor są rozdarci wewnętrznie:, gdyż „Hesse uświadamia nam, że ambiwalencja jest kategorią stanowiącą ontologiczny aksjomat, trwale wpisany w życie każdego człowieka”[48]. Motyw cienia ujawniającego się pod postacią sobowtóra jest dobrze znany z powieści Oscara Wilde`a *Portret Doriana Greya* czy z noweli Edgara Allana Poe *William Wilson*, w którym „mroczne” odbicie jest również nieodłączną częścią postaci, a śmierć cienia/odbicia oznacza również zagładę jego „właściciela”, co tylko utwierdza w spójności człowieka z nieodłącznym jego cieniem[49].

Powieści emigracyjne Guzego są jak zwierciadło, które przede wszystkim pokazuje labirynty ludzkiej duszy, gąszcz nieustannie płynących wspomnień przeplatanych z teraźniejszością. Znamienne wydaje się być konstruowanie postaci zagubionych, rozczarowanych, ale ciągle próbujących odnaleźć cząstkę siebie. Autor nie ocenia ich postaw, pokazując każdy ich upadek jako

kombinację różnych wewnętrznych i zewnętrznych impulsów. Ich motywacje są w pewnym stopniu bliskie Camusowskiej wizji świata, przejawiające się w buncie wobec otaczającej rzeczywistości oraz w ukłuciach absurdu, który definiowany jest jako „atrybut każdej ludzkiej egzystencji", nieustanne poczucie sprzeczności, alienacji, kruchości człowieka w kontaktach ze światem[50]. Życie zatem to nieustanna walka człowieka ze złem, ale aby ją podjąć jednostka musi sobie zdać sprawę do czego sama jest zdolna, jak nisko może upaść by dosięgnąć zła i jak mocna, by się od niego uwolnić. Zdaje się, że temu zadaniu zostały podporządkowane kreacje bohaterów prozy i technika narracyjna autora *Stanu wyjątkowego*, wszak życie – powiada pisarz – to nieustanny stan wyjątkowy.

Ostatni wywiad Piotra Guzego:

https://www.cultureave.com/pomiedzy-emigracja-a-ojczyzna/

_____

Przypisy:

[29] *Rozmowa Leopolda Kielanowskiego z Piotrem Guzym* z dn. 15.03.1967 http://www.polskieradio.pl/68/2461/Audio/294004,Rozmowa-z-Piotrem-Guzym [dostęp 11.05.2016].

[30] A. Sobolewska, *Zagadnienia narracji w prozie psychologicznej pierwszych lat powojennych* [w:] tejże, *Polska proza psychologiczna (1945 – 1950),* Wrocław 1979,s. 885.

[31] P. Guzy*, Requiem dla pani Tosi*, Londyn 1990, s. 13.

[32] Można w tym miejscu powołać się także na utwory okresu międzywojennego, w których pojawiał się wewnętrzny monolog: *Duże litery* (1933) Adama Ciompy, *Rozmowa z cieniem* (1933) Stefana Napierskiego, *Ciszy lasu i twojej ciszy…* (1931) Zbigniewa Grabowskiego, *Róże w betonie* (1935) Mariana Promińskiego, *Przygoda w nieznanym kraju* (1933) Anieli Gruszeckiej, *Portret ojca w czterech ramach* (1934) Adama Tarna. A. Sobolewska, dz. cyt., s. 890.

[33] P. Guzy, *Stan wyjątkowy,* wyd. II, Opole 2015, s. 75.

[34] A. Sobolewska, *Zagadnienia narracji w prozie psychologicznej pierwszych lat powojennych* [w:] tejże, *Polska proza psychologiczna (1945 – 1950),* Wrocław 1979, s. 11.

[35] P. Guzy*, Zwidy na wysokościach*, wyd. II, Opole 2016, s.126.

[36] Retrospekcje pełnią zasadniczą rolę w powieści psychologicznej, czyniąc narratora transparentnym: „przeszłość nie może bowiem być przedstawiona przez narratora jako przedakcja lub inwersja czasowa. W ramach narracji z perspektywy bohatera retrospekcje są „uwewnętrznione", wprowadzone do świadomości postaci, a ich pojawienie się musi być umotywowane działaniem praw pamięci". W prozie Guzego retrospekcje najczęściej uruchamia jakiś detal kojarzony z konkretnym wydarzeniem z przeszłości. A. Sobolewska, *Struktura czasowa utworu i problematyka czasu,* [w:] tejże, dz. cyt., s. 47.

[37] Tamże, s. 41.

[38] P. Guzy, *Odwiedziny u duchów,* [w:] tegoż, *Odwiedziny u duchów i inne opowiadania,* Opole 2015, s. 88 – 89.

[39] Tamże, s. 86 – 87.

[40] P. Guzy, *Requiem dla pani*…, s. 57.

[41] P. Guzy, *Będziesz miłował kata swego* [w:] tegoż, *Odwiedziny u duchów*…, s. 109 – 110.

[42] A. Sobolewska, *Problemy motywacji i analizy psychologicznej,* [w:] tejże, dz. cyt., s. 62.

[43] P. Guzy, *Kartki z notatnika*, „Kultura" 1968, nr 1-2, s. 12.

[44] *Rozmowa Leopolda Kielanowskiego z Piotrem Guzym* z dn. 15.03.1967 http://www.polskieradio.pl/68/2461/Audio/294004,Rozmowa-z-Piotrem-Guzym [dostęp 11.05.2016].

[45] P. Guzy, *Requiem dla pani…*, s. 52 – 53.

[46] J. Jacobi, *Praktyczne zastosowanie teorii Junga,* [w:] tejże, *Psychologia C. G. Junga*, przeł. S. Łypacewicz, Warszawa 1996, s. 153 – 154.

[47] Motyw cienia pojawia się m.in. w powieściach: *Wilk stepowy* Hermanna Hesse; *Kobieta bez cienia* Hofmannsthala-Straussa, *Szara eminencja* Aldousa Huxleya; *Rybak i jego dusza* Oskara Wilde`a. Zob. Tamże, s. 152. Z kolei w romantyzmie niemieckim pojawia się postać separująca się od własnego cienia, lustrzanego odbicia, na przykład w prozie E. T. A. Hoffmana (*Przygody w noc sylwestrową; Diable eliksiry*) czy u Alberta Chamissa (*Przedziwna przygoda Piotra Schlemihla*). Również u Mikołaja Gogola pojawia się „człowiek bez cienia". Zob. S. Kamińska-Maciąg, *„Człowiek bez cienia" w*

opowiadaniach fantastycznych Mikołaja Gogola, „Slavia Orientalis" 2013, nr 3, s. 391 – 402.

[48] Michał Zawadzki w swoim artykule zalicza *Wilka stepowego* do prozy o znamionach autobiograficznych, przesyconych intymną wiwisekcją własnych lęków i obaw, gdyż powieść „stanowi odzwierciedlenie przerażenia pisarza współczesną mu epoką, w której jednak stara się po omacku znaleźć świat, w którym nie byłby sam". M. Zawadzki, *Hermann Hesse, ambiwalencja i tragizm życia przebudzonego*, „The Polish Journal of the Arts and Culture" 2014, nr 10, s. 151- 152.

[49] Sobowtór jako „odwrotna strona medalu" pojawia się również w prozie Roberta Louisa Stevensona *Doktor Jekyll i pan Hyde*, Stefana Grabińskiego *Zez; Problemat Czelawy.* Zob. S. Wysłouch, *Anatomia widma*, „Teksty. Teoria literatury, krytyka, interpretacja" 1977, nr 2, s. 150.

[50] Kategorię buntu i absurdu w filozofii Camusa obszernie wyjaśnia Tomasz Błaszczyk w artykule: *Filozofia egzystencjalna Alberta Camusa* „Studia Europaea Gnesnensia 2012, nr 6, s. 167 – 182.

Trzeba zrozumieć porządek rzeczy. Józef Bujnowski (1910-2001). Część II.

Florian Śmieja



Józef Bujnowski, Włochy 1945 r., fot. arch. Heide Pirwitz-Bujnowskiej, żony poety.

Piękne są dalsze teksty z tomu „Spod gwiazdozbioru wielkiego psa” z 1987 roku: „Rozmowa w stylu pewnej epoki”, „Lęk”, „Motyw z ballad i romansów”, jakby w dowód, że Bujnowski potrafi pisać nie tylko wymyślne eksperymentujące igraszki, ale i wiersze konwencjonalne. Kamping we Włoszech koło Genui okazał się szczególnie bogaty w natchnienie. Poeta nie waha się wpleść prozaiczny odnośnik pozwalający zapisać w czasie liryczną miniaturę. I tak poeta chciałby zakupić Madonnę, którą

wyrabia lokalny artysta, cóż z tego:

> ale Wilson ograniczył ilość funtów
>
> które można zarobić i wywieźć za granicę

Wśród pejzaży pojawiają się także hiszpańskie, a Amsterdam autor zaprezentuje nam w postaci kolorowych przystanków. Przy jednym z nich w barze dyskutujących o imponderabiliach można spotkać osobników o nazwiskach Lubomir Dolezal i Józef Bujnowski.

Rewelacyjny jest dla mnie cykl wierszy z wyprawy do Grecji. Tu szeroka humanistyczna wiedza w połączeniu z szelmowskim humorem poety bryluje bezspornie. W wierszu „Jak to było w Olimpii” znajdziemy taki passus:

> hellanodikowie
>
> to takie litrerackie „juri”

> tylko mniej śmieszne niż np. w Londynie
>
> akademia grydzewskiego

W „Długiej i ważkiej rozmowie z Pytią” na cenzurowanym znalazły się różne formy wierszy:

> twój wiersz to wcale nie heksametr
>
> nie rymujesz według Dłuskiej
>
> ani nawet Pszczołowskiej

Kpi sobie również z uświęconych przekazów i pewników. W wierszu „Nad grobem w Mykenach” konstatuje poważnie:

> nogą ten grób odkryła koza

> wpadłszy jedna
>
> w szczelinę

Zaś w wierszu „Przed hekatompedonem” na swój sposób tłumaczy narodziny Ateny:

> a mój łacinnik mówił mi
>
> że Hefajstos
>
> uderzając potężnym toporem
>
> w głowę Zeusa
>
> powołał ją do życia
>
> to było takie na owe czasy
>
> cesarskie cięcie

Tomik „Spod gwiazdozbioru” doskonale reprezentował poezję Bujnowskiego, a ton i forma tych wierszy świadczą o jego dojrzałości poetyckiej, o ograniczeniu eksperymentowania, nie epatowania, rzadkim darze pisania zwyczajnego wiersza

> o miłości
>
> na co dzień

Poeta pokazał zdolność uchwycenia trafnego słowa, jak w „Erotyku” pod koniec tomiku.

Odnotujmy jeszcze mało fortunną, ostatnią chronologicznie publikację wierszy Bujnowskiego: „Przychodzę z mroków”. Jest to wybór poezji wydany przez Agencję Wydawniczą Lawsonia. Opracował go Marek Jędrzejewski wybrawszy 38 utworów spośród wierszy przedwojennych, wojennych i wydanych na emigracji. Zasłużył się w ten sposób przypomnieniem tekstów trudnych do znalezienia, a ważnych. Niestety publikacja ukazała się w bardzo bylejakiej postaci, roi się w niej od błędów, których ani połowy nie uwzględniła załączona errata. Przy tego typu poezji jest to fatalne niedociągnięcie. Nie budzi też większego zaufania zbyt pospiesznie nakreślone słowo wstępne pt

„Samotność poety”.

Jeszcze w roku 1945 w Matino we Włoszech Bujnowski napisał krótką powieść „Koła w mgławicach” poświęconą towarzyszowi broni, utalentowanemu grafikowi Ryszardowi Kopyściowi, który zginął pod Monte Cassino. Przez kilkadziesiąt lat autor usiłował zainteresować swoim manuskryptem wydawców emigracyjnych i krajowych bez rezultatu. Nagle w liście z 9.5.1992, doniósł

> Część mojej prozy literackiej „Koła w mgławicach” opublikowała „Arka” krakowska wraz z wywiadem – ale o wydaniu całości marzyć trudno, bo jakoś pośrednio zahaczam o kołtuństwo i głoszę hasła „przeciw wojnie”.

Rok później jednak z wielką radością komunikował, że jego powieść znalazła w Polsce zainteresowanego wydawcę, który ją opublikował w Krakowie w 1993 roku.

„Bujnowski wywarł podobno znaczny wpływ na młodsze pokolenie emigracyjnych poetów”, napisał – jak widać nie bardzo pewny swojej opinii Piotr Kuncewicz. Wielu z nas, nie ulega kwestii, docenia rozsądne i uprzejme słowa Bujnowskiego. Również pamięta troskliwe zainteresowanie i pomoc. On nam wskazywał inne, nowe wzorce. Sam był przykładem awangardzisty poszukującego z uporem świeżego, trafnego

słowa i odkrywczej formy. Promieniował respektem dla Kridlowskiej szkoły krytycznej, lecz nikomu, o ile dobrze pamiętam, własnych preferencji nie narzucał. Respektował osobowość twórczą każdego. Usuwał rażące błędy, mógł sugerować inne wersje. Nie powstanie o nim złośliwa anegdotka jak ta kojarzona ze Stanisławem Balińskim, który długo przetrzymywał zbiór wierszy Bronisława Przyłuskiego, a potem je odesłał przepisane na modłę Skamandra.



Józef Bujnowski, fot. arch. Heide Pirwitz-Bujnowskiej, żony poety.

Bujnowski nie ukrywał swojej krytyki skamandrytów i nieraz wypowiadał się o ich poetyce ostro i dobitnie. Miał swoich mistrzów, demonstrował ich, ale nie nalegał, by ich brali sobie za wzór inni. Młodzi pisarze byli świadkami ustawicznego dążenia Bujnowskiego do ubierania przeżyć artystycznych w nowy wyraz. Widzieli jego niezgodę na powielanie utartych form, cenili unikanie maniery, próby realizowania ambitnych teorii, pracę nad metaforą. Bujnowski więc swoim własnym przykładem, a

także ofiarnością i bezinteresownością wobec młodych, wpłynął na nich, na ich ukształtowanie i wybory. Bliski im był jego brak ostentacji i skromność. Sympatyzowano z jego koncepcją poety:

> […] nie natchnione medium, przez które „płynie strumień piękności" – jak to było jeszcze u nadrealistów – ale świadomy artystycznych celów architekt na zimno organizujący swój artystyczny materiał w świadomą celów budowę…

Nie uszła naszej uwadze jego dbałość o rytm i rapsodyczny styl recytacji jako ważny element poezji. Respektowaliśmy go na pewno za jego pogodne patrzenie na sztukę, która „..lubi i umie dostarczać ludycznych doznań, że sztuka jest chora, jeśli nie potrafi się śmiać…" Do innych jego ulubionych teorii ustosunkowywano się różnie, ale brano je pod rozwagę. Należało do nich podejście krytyczne do twórczości. Pomni na jego *dictum*, że historia literatury ma traktować o literaturze, a nie o literatach, mogliśmy się spierać o to, czy istotnie analiza liryki musi być „bezosobowa", że nie można uzupełniać biografią utworów lirycznych, a utworami lirycznymi biografii.

W 1988 roku Bujnowski otrzymał nagrodę Związku Pisarzy

Polskich na Obczyźnie za całokształt twórczości. Za poświęcenie życia nauce polskiej na emigracji, dopowiedział dr Zdzisław Jagodziński. Sam laureat m.in. oświadczył

> […]już w Wilnie wiedziałem, że w tradycyjnych formach nie da się wyrazić prawdy o współczesnej rzeczywistości. Te wczorajsze formy są cudowne, ale skamieniałe i już nieżywe.

Urodzony 18.3.1910. w Okolicy-Rudawie na Wileńszczyźnie poeta po ukończeniu szkół w Brasławiu i Dziśnie, zapisał się na filologię polską na Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie. (Warto tu wspomnieć, że przedtem uciekł na kilka miesięcy na przełomie lat 1926-27, by zakosztować cygańskiego życia jako członek aktorskiego teatru „Reduta" żyjąc we wspólnocie i grając pomniejsze role). Ukończywszy magisterium, pracę doktorską poświęconą kompozycji utworów dramatycznych Stanisława Wyspiańskiego rozpoczął pod kierunkiem profesora Manfreda Kridla. Przerwany przez wybuch wojny przewód wznowił i ukończył i z akceptacją na rok przed śmiercią profesora Kridla. Metody wileńskiego promotora ukształtowały jego podejście do badań naukowych i tej szkole (Kridla i Wójcickiego) przy pewnym zindywidualizowaniu pozostał lojalny. O wartości dzieła literackiego decydowały wyłącznie składniki artystyczne i ich

kompozycja.



Józef Bujnowski (z prawej) i prof. Andrzej Żaki na tarasie Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie, fot. arch. Heide Pirwitz-Bujnowskiej, żony poety.

Profesor Alicja H. Moskalowa, która pod kierunkiem Bujnowskiego napisała pracę doktorską poświęconą poezji, w wykładzie inauguracyjnym na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie w 1998 roku wyodrębniła szereg cech charakterystycznych dla jego naukowej i poetyckiej postawy. Pozwolę sobie tu je w skrócie przytoczyć.

1. Badania nad literaturą jako taką, czyli nad twórczością

artystyczną wyrażoną w słowach, a nie nad życiem prywatnym literatów i wpływem ich życiorysów na jakość słowa poetyckiego.
2. Analiza utworów pod kątem ich wartości estetycznych, pod kątem ich struktury, a nie zajmowanie się wartościowaniem utworów literackich, szczególnie z punktu widzenia ich przydatności narodowej, czy też tzw. zamówienia społecznego.
3. Służebność sobie a muzom (wierność sobie?), a nie służebność wobec idei/ideologii pozaliterackich.
4. Bunt przeciwko tradycyjnej poezji.
5. Awangardowość i związane z nią eksperymentowanie słowem, formą i układem graficznym wiersza.

Piętno tego warsztatu krytycznego odpowiednio modyfikowanego dostrzec można we wkładzie Bujnowskiego w monumentalne dzieło powstałe pod redakcją Tymona Terleckiego „Literatura polska na obczyźnie 1940-1960" p.t. „Esej, szkic literacki i krytyka artystyczna w literaturze polskiej na obczyźnie 1940-1960". Znakomitą pracę „Przemiany we współczesnej poezji polskiej. Trzy wykłady", wydrukował miesięcznik „Kontynenty" w 1964 i 1965 roku. PUNO wydało ją w osobnym zeszycie w 1968 roku. Godzi się też wspomnieć jego kontrowersyjny szkic „Niektóre uwagi o tzw. IV Systemie wersyfikacyjnym" (1973). Poezja konkretna doczekała się również fachowego opracowania jego pióra. Nie sposob

wymienić wszystkich rozpraw i szkiców w książkach zbiorowych i naukowych czasopismach. Niektóre z nich ukazały się w języku niemieckim i holenderskim.

Prace naukowe są owocem jego długoletniego stażu jako pedagoga. Już w Polsce zatrudniony był w szkolnictwie średnim, uczył potem we Włoszech żołnierzy polskich. Zorganizował filologię polską na uniwersytecie w Amsterdamie, gdzie wykładał literaturę polską i teorię literatury przez osiem lat, jeden semestr wykładał w Heidelbergu, przez jakiś czas w *School of Slavonic and East European Studies* w Londynie. Na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie był czynny przez przeszło trzydzieści siedem lat jako wykładowca akademicki, dziekan i członek senatu. Był świetnym nauczycielem, który potrafił sobie zaskarbić wdzięczność i pamięć uczniów i studentów.

Udzielał się również społecznie prezesując Polskiemu Towarzystwu Naukowemu, piastując godności w Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, organizował kongresy i zjazdy, redagował książki . Miał wielki szacunek dla instytucji akademickich i lojalnie im służył. Był jednym z najgorętszych obrońców integralnośćí PUNO, kiedy zaistniał zatarg i czasowe przejęcie steru i sekretariatu przez osoby niewłaściwe.

Mieszkając przez wiele lat w tym samym mieście, widywaliśmy się często, a kiedy później odwiedzałem Londyn, chętnie

korzystałem z gościnnego domu Józefa i Heide Bujnowskich. Wyjazd z Anglii na stałe w roku 1969 spowodował potrzebę korespondencji i tak, po powrocie Bujnowskiego z Holandii, wymieniliśmy sporo listów. Dużo było w nich spraw zawodowych, wiadomości o Wydziale Humanistycznym, którego przez wiele lat Bujnowski był dziekanem. Były raporty z zaocznych studiów i egzaminów, które prowadziłem w Kanadzie. Dyskutowaliśmy sytuację w PUNO, kiedy znalazło się w kryzysie i trzeba było dać odpór uzurpatorom używającym uniwersytetu do swoich celów. Wymienialiśmy listy w sprawie programu Kongresu Wolnej Kultury Polskiej w 1985 roku oraz mojego w nim udziału. Informowaliśmy się o powstawaniu Niezależnego Instytutu Naukowego, wreszcie o sytuacji w Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

Nic dziwnego, że przy takim natężeniu spraw publicznych cierpiała twórczość literacka. O niej były w listach nieomal same utyskiwania, jak to ona musi czekać na lepsze czasy. Raz po raz trafiały się wtręty:

> […] trzeba wydać w końcu różne „finicjały”, które od dziesięciu lat leżały pogardliwie odrzucane do szuflady wobec „poważniejszych” zajęć.

W tym samym liście (z roku 1979) Bujnowski dodał kryptycznie:

> […] te „rzeczy mało ważne” będą kiedyś najważniejsze.

O innych autorach rzadko wspominał. No, boczył się kiedyś na Marię Danilewiczową Zielińską, której przypisywał wprowadzenie zamieszania do pisania o literaturze emigracyjnej.

> Pytasz robi coś takiego z Garlińskim: wszystko to amatorszczyzna. Czytałem próbny tekst o poezji i nie zachwyciłem się: słabe!

Nie był też zwolennikiem „Słownika literatury polskiej XX wieku” wydanym przez Ossolineum. Komentował: „A wstyd! Nic o nas nie wiedzą!”. Kiedy indziej doniósł:

> Straszliwie został zjechany w kraju Jerzy Niemojowski, a pod niebiosa go wynosi mój Tymoteusz Karpowicz! Quod homines tot sententiae!

W styczniu 1999 roku przyjechała do niego do Londynu Telewizja Polska, aby zrobić z nim wywiad na temat Teodora Bujnickiego. Powinna była również, czy przede wszystkim, zrobić wywiad na temat Józefa Bujnowskiego. Jest winna bardzo poważnego

uchybienia.

Józef Bujnowski, doktor honoris causa PUNO, kawaler Krzyża Walecznych i orderu Polonia Restituta, zmarł w Londynie 15 lutego 2001 roku.



Józef Bujnowski (z lewej) i Florian Śmieja, fot. arch. Heide Pirwitz-Bujnowskiej, żony poety.

Andrzej Julian Żaki *(1923-2017) – polski archeolog, członek*

Polskiej Akademii Umiejętności, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie w Londynie oraz Uniwersytetu w Limie. Prowadził wykopaliska m.in. na Wawelu, Przemyslu, Czorsztynie, Nowym Sączu odkrywając liczne zabytki z epoki przedromańskiej i romańskiej (na podst. wikipedii).

Pierwsza część:

https://www.cultureave.com/trzeba-zrozumiec-porzadek-rzeczy-jozef-bujnowski-1910-2001-czesc-i/